

Czesław Janczarski (1911–1971)

Tłoczny trawnik

Pod parasolem marchwi
Legł żuk w pancerzu czerwonym.
Gorącym zieje wielki tłoczny trawnik.
Mrówki wciąż czymś zajęte
Krążą w różne strony.
Czuć cząber i miętę.
Z przekwitającej róży opadł jeden listek,
Zawisł na chwilę na nitce tęsknoty.
Niebo dziś takie piękne, błękitne i czyste,
A na nim baldach marchwi i motyl.

(Z tomu *Akwarela*, Równe 1933)

Po deszczu

W górze wyrzała plama błękitna.
Chmura pędzi na zachód, niosąc deszcz w swym tonie,
Z rynny krople uderzają w bruk rytmicznie,
W rynsztoku brudnej wodzie mucha tonie.
Ozonu nie czuć w powietrzu – deszcz był bez błyskawic,
Taki prawie jesienny, dokuczliwy, ponury.
Tylko trawę zmył na skwerach i kałuże zostawił
I strumyki szemrzące chórem.
Wróbel mokry strząsa z siebie krople zawadiacko,
Siedząc na środku jezdni – obok policjanta.
Miliony okruszyn czuć: pachną placki!
Dżdżownicę rozduśił ktoś na plantach;
Leży różową wstążką na czarnej płachcie żwiru –
Requiestat jej śpiewa kropla niewsiąknięta.
W przeciwległym oknie dojrzewa wpółczerwony pomidor.
Widzę go teraz, a nie zauważyłem przedtem.

(Z tomu *Błękitna chustka*, Równe 1936)

Niedobry wieczór

Małej sosenki gęstwa
i kręty strumyk nieba
w górze księżyc jak puzon
wędrujący trębacz

Zza gałęzi nas śledzą
ciemne oczy nocy
ach te oczy nie wiedzą
jak to się wszystko skończy

Las jest jak ciemny wagon
niesie nas gdzieś po torze
światło bladością nagą
zawisło na buforze

I wagon naraz skręcił
w noc bez oczu bez toru
zostawić w niepamięci
zostawić w niepamięci
światło tego wieczoru

(Z tomu *Dzbanek i źródło*, Warszawa 1960)

Miasto dzieciństwa

Pamięci Zuzanny Ginczanki

Już wyrosło z mundurka
nasze miasto za krótkie
zbyt może szybko
przebiegło ulicą

Nie zdążyłem nawet dosięgnąć dłonią
gałązki malin

Tu w miętowym zaułku
za składem aptecznym
w czerwonych rękawiczkach
chodzi czarna dama
tkwią w mroku i w kałużach
kocie łby centaurów
ryby uciekły w niebo
przed tangiem milonga

A twoje okno było
wyrąbane w niebie
kiedy pękły szyby
pozostała na chmurze
malinowa pręga

(Z tomu *Wiersze z natury*, Warszawa 1966)

Zbieranie kminu

Niebo w liściach łopianu
zszarzało u sztachet
naniosiło tego pyłu ze szpakowa z glińska
z tynnego i omelan
ze szczytu piatyhor

A ten hruszwicki
lepki jak miód macierzanek
pełźnie cieniem po chmielu
pod baldaszek kminu

Wyszły baby
już niebo do fartuchów niosą
a młodsza michalczuków
z chustki zrywa szpaka
tam gdzie niemy michałko
utyłłany w makach
brzozy krowich ogonów liczy
ślini palce

Powietrze jest tak ciche
czasem burczy trzmielom
bezpańskie bo niesiane
niedzielone miedzą

Choć biedne
ale przecież za pradziadów wiedzą
pachnie bezkarnie
pachnie całą izbą kminu

(Z tomu *Portret z gałązek i ziół*, Warszawa 1970)